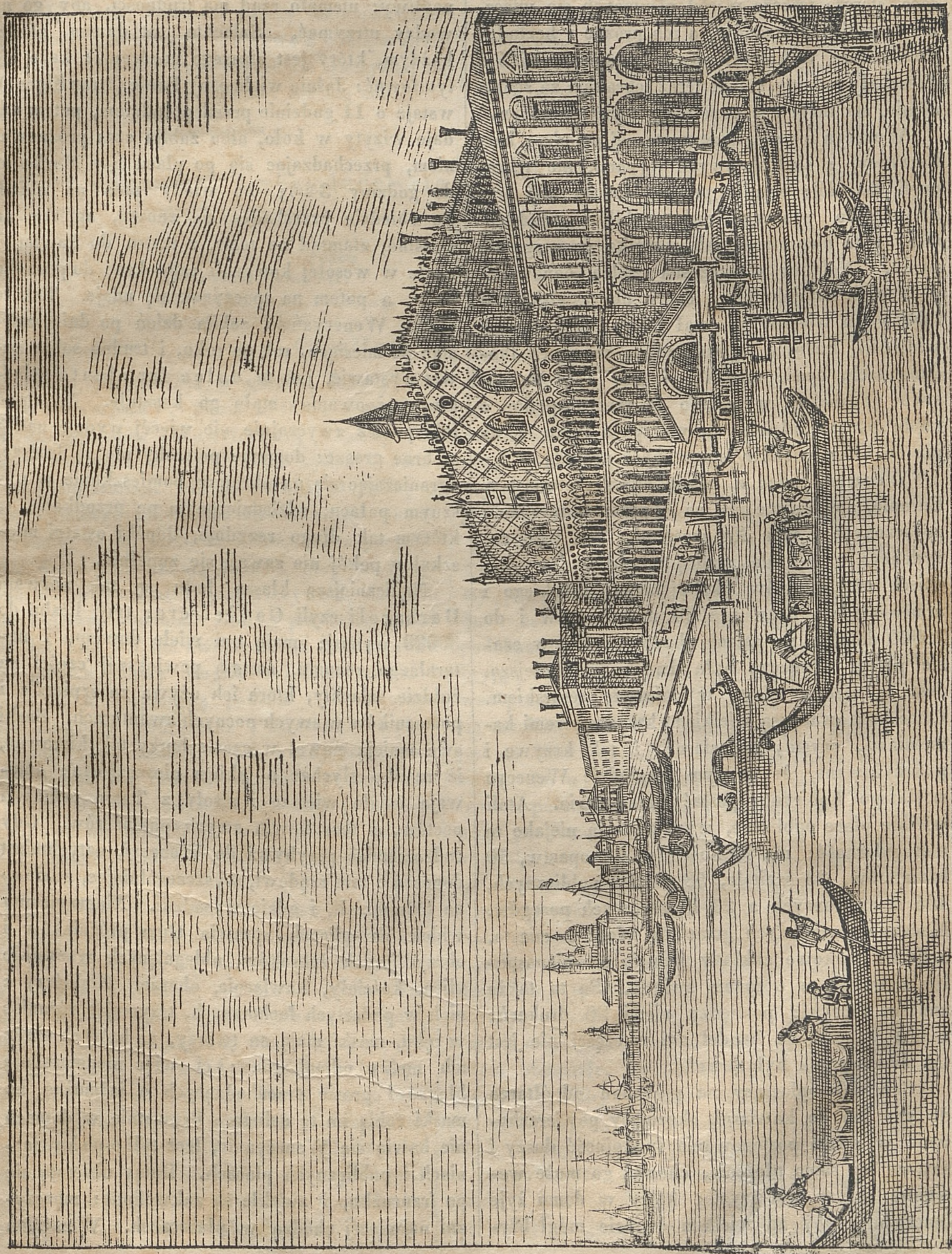
Przyjaciel Ludu.

Leszno **No. 38.** dnia 25. Marca 1835.



W e n e c y a.

Gdzież jest teraz owa królowa morza, rozszerzająca niegdyś potężne na zmiennym żywiole panowanie? Znikła dawna wielkość, zniknął szereg dumnych dożów, dających rozkazy monarchom, wszystko się zmieniło: ponure tylko pałace, sterczą jeszcze wśród pieniących się wiecznie morskich bałwanów, a ich próżne i bezludne przestrzenie, w których niegdyś dumne nobilów mieszkały rodziny, służąc teraz żebrakom za schronienie, smutnem nas napełniają rozrzewnieniem.

Wenecya nie uległa zewnętrznéj potędze; barbarzyńcy, z siedlisk swych wyparci, nie wkroczyli do niéj; upadła przecie, bo na niéj srogo ciążyło pysznego rodu nobilów przekleństwo: i ta nieprawość jak wszelka inna zgubiła naród. Nobilów nieszczęsna żądza panowania podkopała najpiękniejsze cnoty obywatelskie: a lubo kilka wieków pozostał jeszcze cień dawnéj wielkości, budowa ta nadwątlona w swych fundamentach, upaść musiała: i gdy obce mocarstwo (Francya) wymazało tę rzeczpospolitą z rzędu państw udzielnych, wyrzekło tylko to, co już od kilku wieków istotną było prawdą.

Wenecya, jedno z najpiękniejszych miast w Europie, zbudowane jest na 70 przeszło wyspach, połączonych z sobą 300 mostami. Jest teraz rezydencyą wice-króla, stolicą władz rządowych i trzech arcybiskupów (katolickiego, greckiego i armeńskiego); liczy 114000 mieszkańców i do 16000 domów, na palach zbudowanych: w czasie potęgi Wenecya była dwa razy ludniejszą. Jest to trzecie miasto w państwie cesarskiem. Ulice brukowane są wielkiemi kwadratowemi kamieniami, czyste, ale ciasne, i tak krzywe i pokrzyżowane, że w tym względzie Wenecya wielkiego Labiryntu postać przedstawia. Atoli wielkie place publiczne, wynagradzają niejako tę nieregularność; ma 72 kościoły, 12 opactw, 50 klasztorów, 23 szpitale, 58 placów publicznych, 165 marmurowych a 23 kruszcowych posągów. Mnóstwo wspaniałych gmachów zdobi to miasto, a liczne naukowe zakłady jednają mu niepospolite znaczenie w uczonem świecie. Są tu także znaczne fabryki: pomiędzy niemi 26 drukarń; z tem wszystkiem handel ani w części nie jest tak świetny jak był dawniéj.

Człowiek spieszący na przemian od ółtarza do gry lub do kawiarni, okazujący powierzchownie w swem postępowaniu spokojność duszy i zawsze toż samo ułożenie, chociaż go może wewnątrz skryty mól gryzie; który w domu żyje oszczędnie, aby na wielkim świecie mógł błyszczeć, na którym grzecznością wszystko wymódz można, umiarkowany, dobroduszny i usłużny, ale razem w najwyższym stopniu na rozpustę wylany i mściwy, oto jest ogólny obraz Wenecyanina. Lud prosty jest nieokrzesany i popędliwy: niemało rząd ma trudności, aby go na wodzy utrzymać. Szlachta jest dumną, gardzi każdym, który jest niższego urodzenia: każe się tytułować: Jaśnie wielmożny Panie (Gran Signor), wstaje o 11 godzinie przed południem, potem oddaje wizyty w koło, albo zabija czas próżnowaniem, przechadzając się po placu Śgo Marka aż do godziny 3ciéj; bo wtedy czas na obiad. Po obiedzie przechadza się znowu, spieszy na Cassino, ztamtąd na teatr, z teatru do kawiarni, gdzie w wesołéj kompanii częstokroć do poranku bawi, a potem na spoczynek się udaje. Tak to Nobili Wenecyański zabija dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, i trudno sobie nawet wystawić, jak to dolce far niente (słodkie prożnowanie) mało go kosztuje. Na obiad taki panicz zwyczajnie nie więcéj wydaje nad 3 srebrne grosze: domowe potrzeby nie są droższe, ograniczając się na skromne pomieszkanie w pysznym pałacu, odziedziczonym po przodkach, w którym tak długo rezyduje, dopóki ostatni mieszkalny pokój nie zawali się zupełnie.

Najliczniejszą klassą ludu są tak nazwani Barcaroli czyli Gondeliero: tych liczba do 30000 wynosi; mają oni wiele dowcipu i naturalnego rozumu, zostają powiększéj części na żołdzie szlachty, która ich używa za szpiegów i pomocników w swych nocnych awanturach. Barki swe umieją nawet w czasie burzy tak kierować, iż rzadko słychać o jakiem nieszczęściu: śpiewają ciągle wiersze i strofy z Tassa i innych poetów, i tem bawią swych passażerów. Gdy cudzoziemiec przybywa do Wenecyi, natychmiast donoszą o tem rządowi, wyszczególniając, gdzie go na łódz wzięli, i gdzie wysadzili. Nieprzyjemny widok na ulicach sprawia tłum próżniaków i obrzydliwych żebraków, oblegających wszystkie ulice, kościoły, kawiarnie, oberze. Niektórzy z nich w podartych łachmanach, trzymając różaniec w ręku, maski mają na twarzy, na których obraz ich nędzy odmalowany: ci więc niepotrzebują błagać i prosić przechodzących o jałmużnę, bo maski robią im tę usługę. Prywatnie w domach nie bawią się Wenecyanie, lecz tylko po kawiarniach i publicznych placach. Damy ubierają się po francuzku, i zwykle są zakwefione: męczyzni najwięcéj chodzą w płaszczach. Wenecyan

zwyczajną zabawą są: gry hazardowne, muzyka, i teatr. W Wenecyi jest 7 teatrów, a wszystkie bywają napchane widzami, zwłaszcza gdy błazeńską jaką sztukę dają: przeciwnie gdy sztuka poważna, wszystkie miejsca próżne. Opera w ogóle dobra; karnawał należy do najsławniejszych zabaw, i obchodzony bywa z wielkim przepychem. Dopiero nad wieczorem zaczynają się odbywać interesa, we dnie zaś nic nie robią.

Dolina Chamouny i góry lodowate w Sabaudyi.

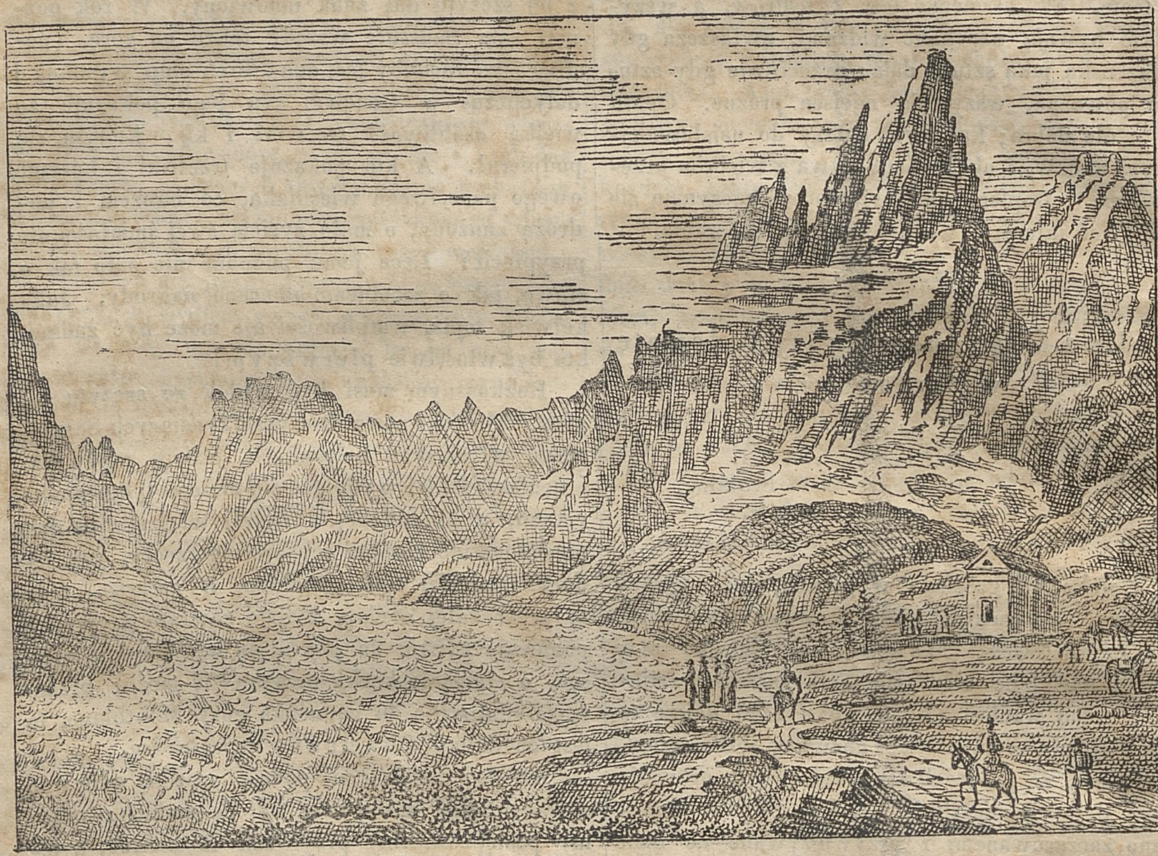
Er schreitet verwegen
Auf Feldern von Eis:
Da pranget kein Frühling,
Da grünet kein Reis.
(Schiller.)

Daleko od gościńca w górach, leży pyszna dolina Chamouny, gdzie królowa wszystkich gór europejskich, Montblanc, śnieżną swą głowę nad inne olbrzymie swe sąsiadki śmiało w niebo wznosi. Aż do roku 1741 dolinę tę w ucywilizowanym świecie z nazwiska tylko znano, i myślano, że ją, jeżeli nie ludożercy, to przynajmniéj dzicy zamieszkują ludzie: góry te nazywano zaczarowanemi i przywięzywano do nich różne bajeczne podania. Dla téj przyczyny przed stem lat nikt ich nie zwiedzał; aż dopiero roku 1741 pewien śmiały Anglik Windham odważył się na tę niebezpieczną podróż. W towarzystwie sławnego podróżnika Pancocke wykonał swój śmiały zamiar, i jak każdy teraz owo jaje Kolumba na czubku postawić potrafi, nauczywszy się tego od wielkiego męża; tak odtąd nikomu nie wpadło na myśl, podróż do doliny Chamouny śmiałem nazywać przedsięwzięciem.

I mnie się zachciało, mówi pewien uczony, przypatrzyć się z bliskości téj olbrzymiéj białéj głowie. Wedrzeć się na sam jéj szczyt, to było dla nas za śmiałem przedsiewzięciem. Dowiedziałem są w Genewie, że Professor Saussure, pierwszy wyznaczył nagrodę temu, który się dostanie na sam jéj wierzchołek: wielu było kandydatów do łamania karków, dla nędznego zysku; lecz nikomu się nie udała tak niebezpieczna podróż. Dopiero roku 1786 pewien młody wieśniak z Chamouny, postanowił także spróbować szczęścia, i zwyciężywszy wszystkie przeszkody, wdarł się na sam wierzchołek góry, i swym przyjaciołom przez teleskop z Chamouny patrzącym z jéj szczytu dał znak umówiony. W rok później sam Saussure wszedł także na górę, (podług jego rachuby jest ona 14676 stóp wysoka) i dotychczas w Genewie syn jego pokazuje za wielką osobliwość trzewiki i kij, którym się podpierał. A kto pokazuje trzewiki i kosztur owego poczciwego wieśniaka, co mrozem i podróżą znużony, o mało życiem swéj śmiałości nie przypłacił? Lecz jemu podobno nie szło tak o sławę, jak o zarobienie obiecanéj nagrody. Jakkolwiek bądź, wątpliwości nie może być żadnéj, kto był właściwie pierwszym!

Rozkosznym musi być widok ze szczytu téj góry: Widzieć pasmo gór przerzynających Szwajcaryą w różnych kierunkach, jeziora genewskie i neufszatelskie, wydające się małemi tylko punkcikami, a Montblanc, z któréj wierzchołka tak nieskończenie małemi wydają się rzeczy, jest jednakże niskim tylko punktem w naturze. Gdy tę myśl daléj śledzę, dostaję zawrotu głowy, a ponieważ zawrót do pięcia się na wysokie miejsca, o złamanie karku przyprawić może; przeto czytelnika tylko do podnóżka góry Montblanc, to jest do doliny Chamouny zaprowadzę.

Aż do St. Martin podróż wozem odbywać można: odtąd zaś pieszo lub na mułach: tak i my postępowaliśmy przykremi częstokroć, a jednak czarującemi ścieszkami: rzeczka Arwa, podobna do krnąbrnego dziecka, zalewając swe brzegi, była naszą pewną przewodniczką, ponieważ przerzyna Dolinę Chamouny. Od St. Martin mieliśmy jeszcze 7 godzin drogi: Dolina ta jest na 3000 stóp nad powierzchnią morza wzniesioną. Im wyżéj pięliśmy się na góry, tym nas, synów północy czystsze i swobodniejsze owiewało powietrze; ale trudy podróży pogrążyły wszystkich w milczeniu. Napotkaliśmy kilku wesołych Sabaudczyków: echo powtarzało ich pieśni: ci widząc nasze zasępione miny, o mało nie parskali ze śmiechu. Ale gdyśmy ujrzeli z głębi zielonego wąwozu, trzy śnieżne wierzchołki góry Montblanc wypogodziliśmy ponure czoła. Był to czarujący i wspaniały widok. W swéj majestatycznéj ociężałości, wznosił swą głowę ten olbrzym obumarły, wśród bujnego życia natury: obraz zgrzybiałego wieku, otoczonego igraszkami uśmiechającéj się młodości. Arwa właśnie wtedy w najgorszym była humorze, i wystąpiła ze swego koryta: co nas zmusiło do częstego zbaczania z prawéj drogi; jednakże zaprowadziła nas na to miejsce, gdzie w południowéj stronie



Widok gór lodowatych (Gletscher) w Sabaudyi.

cały grzbiet góry Montblanc przejrzeć można i tu zaczyna się dolina Chamouny.

Mieszkańcy téj doliny, na 4—5 godzin długości mającéj, przez częste odwiedzanie podróżnych, przyszli do dobrego w swym rodzaju bytu: wyborne mają łąki, zboża trochę sieją, ale owoc i wino nie udają się w téj wysokości: również dęby, orzechy i kasztany nie rosną. Miód, ser i masło wyborne, ryb poddostatkiem, których rzeka Arwa dostarcza. Zima tu trwa od Października aż do Maja; a na wiosnę i w jesieni okropne wieją orkany, w zimie zaś lawiny straszliwe tu zrządzają klęski. Dzikie kozy są celem pościgów nieutrudzonego myśliwca, a koziorożec nieraz bardziéj go jeszcze do łowów zapala.

(Koniec nastąpi.)

Kondor.

Kondor wyżéj jeszcze niż orzeł wzbija się w obłoki, i dzielniéj buja w powietrzu: mimo to jednak nie należy do rodzaju orłów ale do sępów a raczéj do ścierwojadów (Aasvogel): żyje w gorących krajach Azyi, Afryki i Ameryki i lata gromadami. Węch jeszcze ma bystrzejszy niżeli sęp, i prawie wyłącznie ścierwem żyje. Opatrzność chcąc zapobiedz w tych ciepłych krajach zarazom powietrza, przeznaczyła ptaki te do uprzątania ścierwów i gnijących ciał zwierzęcych; dla tego te ptaki mają węch najdoskonalszy i wielką odwagę. Ciągną one gromadnie za karawanami kupców i pielgrzymów, i pożerają wszystkie szczątki zwierzęce, które na miejscu ich wypoczynku zostaną. Kondor, niekiedy także gryfem zwany, jest bez wątpienia największy i najmocniejszy ze wszystkich dzikich ptaków; albowiem rozciągnione jego skrzydła dochodzą 15 stóp szerokości: niektórzy jednak podróżni daleko większe opisują kondory. *) Pierze kondora jest czarne, połyskujące, skrzydła zaś białemi upstrzone piórami: szyja goła,

*) Podróżni rożne o tym ptaku prawili baśnie; jedni utrzymywali, że ma kilka sążni ogromu, a rozciągnione skrzydła zaciemniają słońce jak chmura,



K o n d o r.

czerwona, białą, wełnistą wstążką otoczona. Samiec ma czerwony, szeroki, chrząstkowy grzebień na głowie. W Ameryce buja on po nad najwyższemi grzbietami gór Andes; a nawet nad Chimborasso, najwyższym gór tych wierzchołkiem, śmiałym wzbija się lotem. Spada kierunkiem, ślimakowatym na swój łup, i natychmiast go z sobą unosi: największe nawet zwierzęta szpon jego się obawiają.

Pewien podróżny tak mowi o kondorach: w Chili natrafiliśmy raz na muła porzuconego na drodze, właśnie gdy go sępy szarpały. Zsiedliśmy z koni, chcąc je podejść. Na 200 kroków pozwoliły nam zbliżyć się ku sobie: a potem jeden po drugim zaczęły się oddalać, skacząc i unosząc się nizko nad ziemią; w niejakiéj dopiero odległości okrążywszy nas i stanąwszy, śledziły nas bacznie, za każdym zaś krokiem daléj się usuwały. Jeden tylko ptak pozostał przy ścierwie, a wlepiwszy weń szpony, oglądał się na nas ustawicznie: wymierzyłem do niego i strzeliłem kulą, właśnie gdy ulecieć chciał. Kula trafiła go w bok, gdyż gwałtownie bił skrzydłami; jednak zapędziwszy się wzniósł się do góry: poprawiłem z drugiéj lufy: znowu zaczął się trzepać, z tem wszystkiem wzleciał i z drugiemi się połączył. Tego rodzaju kondorów nie zdarzyło mi się już nigdzie oglądać: olbrzymie te ptaki miały przeszło 4 stopy wysokości. Zwykle takim sposobem zabijają kondory: zostawiają gdziekolwiek w pobliskości krzaków lub jaskini, gdzie się skryć można zdechłe zwierzę: tu czekać trzeba aż kondor przyleci, a dobrze wprawny strzelec od razu go z flinty ubić może. Wieśniacy zaś chwytają go tak: ogradzają wązki dół wysokiemi palami, i rzucają tam ścierw jaki. Kondory przylatują, szybkim pędem spadają na mniemaną zdobycz, i nażarłszy się, nie mając w téj ciasnocie miejsca do rozpędu, wzlecieć nie mogą: w téj chwili przybiegają wieśniacy i kijami zabijają swą zdobycz.

Lubo nie podlega żadnéj wątpliwości, że ten drapieżny ptak nie tylko dziecię, ale nawet dorosłego człowieka pokonać może; jednak na ludzi się na rzuca: przeciwnie zaś wielu zwierząt a nawet trzód całych jest postrachem: napada na jelenie i bydlęta, które ściga tak długo, raniąc i szarpiąc je swemi szponami, aż te z utrudzenia i strachu ryczeć zaczną, i język wywieszą: za ten chwyta zaraz kondor, i z największą chciwością szarpie, a potem oczy wydrapuje swéj zdobyczy.

Pierza i skóry jego kuła nawet nie przeszyje; a ci którzy go łapią, wystawiają się na wielkie niebezpieczeństwo.

krzyk jego przeraźliwy powtarzają gór echa o mil kilka; siłę zaś taką mu przyznawali, że porywa woły i czworonożne zwierzęta, i zaniosłszy je na bezpieczne miejsca dopiero pożera je na skałach; wszystkie te bajki znikły, gdy im się przypatrzono z bliska. Wielkość jego niedochodzi jeszcze wielkości Strusia, ma do 13 stóp z rozciągnionemi skrzydłami.

Zamek Ostrogski.

(Dokończenie.)

Ale głośna już przygoda młodéj Helszki, przydała jéj może więcéj jeszcze powabów w oczach zalotników; znowu bowiem pan wielkopolski Łukasz Górka u króla o nią starać się zaczął; chociaż Zygmunt skłonił się do żądania Górki i matce przedstawienie zrobił, przeciwną była jednak wyborowi króla, i rozlicznych używając wymówek, przytoczyła i tę przyczynę, że podług statutu litewskiego, którym się Wołyń rządził, Polacy żeniący się w Litwie, wzięte po żonie imiona (dobra) za pewną, najmniejszą na włokę postanowioną cenę, odstąpić sąsiadom byli powinni. Król słuchał tych wymówek księżny długo i cierpliwie; ale mając wyjeżdżać już z Warszawy na sejm Piotrkowski, znudzony wreście jéj wybiegami, pierścień jéj z palca zdejmuje, i na znak zezwolenia Górce posełą, w skutek czego i ślub nastąpił. Jednakże matka szukając obrony przy królowéj Bonie, sprzeciwiała się ciągle związkowi temu, i lat kilka na rozlicznych zabiegach i odporze matki upłynęło, nim Górce córkę oddała; gdy bowiem Bona do Włoch odjechała, xiężna Beata do Lwowa się udaje, i zamknąwszy się w klasztorze z córką

zbrojnymi ludźmi mury obsadza. Król jednak ciągle trzymając stronę Górki, w roku 1559 wysełał Piotra Barzego, starostę Lwowskiego, który później na poselstwie w Hiszpanii umarł, aby nakłonił xiężnę Ostrogską do oddania córki jéj małżonkowi. Udał się Barzy do Lwowa, i Górka tamże pojechał w gronie przyjaciół i braci. Lecz próżne były przełożenia starosty: xiężna trwającym ciągle uporem zniewala nakoniec króla, że przez dworzanina Górnickiego staroście rozkaz na piśmie posełą, aby przemocą spełnił wolą jego. Posłuszny Barzy stawia straże u bramy, aby nikogo do miasta nie wpuścić. Jednakże jakiś Padlasianin Sawicki, pisarz (sekretarz) xiążęcia Radziwiłła, Wojewody Wileńskiego, wkraść się potrafił do miasta: schwytano go i znaleziono przy nim we wojłoku listy, ruskim charakterem do xiężnéj Ostrogskiéj pisane, aby swéj córki nie dawała Górce, jeśli chce w posiadaniu swych majątków zostać; panowie bowiem litewscy, ciągle przy wyłączeniu statutowem obstawali, i to istotną było przyczyną całéj o to małżeństwo sprzeczki. Wnet potém Szymon xiążę Słucki przeszedłszy przez miasto w żebraczém odzieniu, wcisnął się do klasztoru, a gdy się tam w broń i żywność opatrzono, przemoc nawet stawała się nieskuteczną dla odebrania Helszki. Przemyślny jednak starosta innych środków chwytać się zaczął; odebrał wodę, kanałem bieżącą do klasztoru, i spragnioną dopiero xiężnę przymusił wysłać w poselstwie dworzanina Zieleńskiego, który oświadczył, że xiężna Szymonowi Słuckiemu swoję córkę za żonę oddała, i w przypadku gwałtu raczéj puginałem, który zawsze przy sobie nosi, zada śmierć córce i sobie, niżeli ma ją odda Górce. Nazajutrz jednak niedostatek zmiękczył stałość xiężny, która przyzwawszy starostę do siebie, córkę mu wreście oddała. Zaszła przed klasztor kolebka (kareta) a Barzy wsadziwszy z radością młodą xiężnę do niéj, na stopniu pajazdowym stojąc (jak było pod ów czas zwyczajem) odprowadził ją do zamku; jednakże doniesiono królowi o zaślubieniu Helszki z xiążęciem Słuckim, a matka xiężna na królewski sąd się zdała. Nadeszły wkrótce rozkazy, aby Helszka pierwszemu małżonkowi oddaną została, czego znowu przymusem na zamku Lwowskim dochodzić musiano. Wreście dopiął Górka tylu trudami dosięganego celu, i odebrał swoję Helszkę. Matka zaś doznawszy już tyle goryczy, w cięższem jeszcze nieszczęściu zakończyła życie; zaślubiona bowiem, po owdowieniu swojem, z Albrychtem Łaskim, Wojewodą Sieradzkim, podobno dla niezwalczonego uporu w zamku Kesmerk we Węgrzech zamknięta przez niego, smutnego dokonała życia. Nie lepiéj i córka skończyła: niechciała żyć albowiem z Górką zmuszona małżonka, i żadnych dzieci nie miała, a po śmierci męża z pomieszanemi zmysłami na dwór stryja, xięcia Konstantego Ostrogskiego przybyła, i tamże tylu przygodami skołatane życie zakończyła. Konstanty ten brat Jlji, sławny z męztwa w dziejach naszych, pan wielkiego majątku i wystawnego dworu, jak Niesiecki opisuje, Ostróg w budowle i ludność powiększył, a choć jako zacięty wyznawca kościoła greckiego, upornie przeciw unji z Rzymem powstawał, był przecie dobrym obywatelem; bo wysełając syna swego Janusza za granicę, dawał mu przestrogi zachowania narodowego stroju i niebrania w małżeństwo cudzoziemki, tylko polkę lub węgierkę. W roku 1609; ustanowił ordynacyą Janusz xiążę na Ostrogu, która stawiała niegdyś 600 ludzi na usługi Rzeczypospolitéj; ale schodząc bez potomka płci męzkiéj, mianował następcą ordynacyi po sobie siostrzeńca swego Alexandra, xięcia Zasławskiego. W roku 1673 wygasł dom ten równie na Januszu Alexandrze, po którym Hieronim Lubomirski i syn jego Józef ordynatami byli, od których taż ordynacya w dom xiążąt Sanguszków się przeniosła. Ostatnie zaś potomki płci żeńskiéj domu Ostrogskich Zofia, poszła za Stanisława Lubomirskiego, Katarzyna za Tomasza Zamojskiego i Anna Alojza za sławnego Jana Karóla Chodkiewicza hetmana wiel. litt. Dobra téj ordynacyi za ziemskie uznane zostały mocą konstytucyi z roku 1766, a właściciele zamiast utrzymania 600 ludzi, do płacenia corocznie 200000 złotych polskich obowiązani, z czego utrzymywano pułk aż do ostatniego podziału Polski. — Takie są dzieje Ostrogskich, i tyle wspomnień widok tych ruin wzbudza w naszéj pamięci. E.

Stanisław Łubieński,
(Biskup Płocki.)

(Koniec.)

Wkrótce potem przywołał go napowrót do dworu Wawrzyniec Gembicki, (który kanclerstwo po Pstrokońskim wziął) aby go pracą i radą wspierał. Łubieński przyjął wezwanie, poświęcał swoje siły i zdolności nowemu kanclerzowi i między innemi wykonał z swoim bratem Maciejem, później Arcybiskupem gnieźnieńskim, mozolną i olbrzymią, a nader użyteczną pracę. Archiwum koronne w Krakowie znajdowało się w największym nieładzie. Uporządkować takowe i spisać podjęli się bracia Łubieńscy, i z przyjętego na się obowiązku uiścili się w sposób nader dla nich chlubny. Piotr Tylicki, biskup krakowski, który w czasie téj pracy miał sposobność poznania pięknych przymiotów Łubieńskiego, postanowił go zatrzymać w Krakowie, i w tym zamiarze ofiarował mu Archidyakonat krakowski i zrobił go swoim kanclerzem. Nie długo przecież bawił Łubieński w Krakowie. Felix Kryski objąwszy kanclerstwo wielkie koronne po Gębickim zwabił go na powrót do dworu, i powierzył mu rejentostwo kancellaryi królewskiéj. Urząd ten sprawował Łubieński przez trzy lata. Odtąd zaczęły sie zlewać nań łaski królewskie. W nagrodę wielkich i długoletnich zasług, obdarzył go Zygmunt III. najprzód intratnem opactwem ty-

nieckiem, potem biskupstwem płockiem. Na tem stargawszy siły, na usługach ojczyznie i kościołowi, dokonał Łubieński życia 1640 w 67 roku swego wieku. Jako biskup, niespracowany ten i przykładny kapłan, wzierał w obyczaje duchowieństwa swéj dyecezyi, dobrych pasterzy zachęcał, złych od ołtarzy oddalał, składał synody, wizytował kościoły, sypał hojną dłonią na ubóstwo. Jako Senator uczęszczał na Sejmy i był wierną a zdrową radą Monarchy. — Jako historyk zajmuje Łubieński niepoślednie miejsce między pisarzami krajowymi. Braun zarzuca mu wprawdzie stronność i pobłażanie osobom: zarzut atoli ten paść raczéj powinien na wydawców dzieł Łubieńskiego, którzy w pogrobowéj edycyi pism jego wyrzucili to, co im się niepodobało. Pomimo tego, znajdują się niektóre exemplarze téj edycyi, w których Łubieński równie śmiało i bez względu, jak Piasecki, powstaje przeciw tym, którzy w jakikolwiek bądź sposób przyłożyli się do wielu uchybień panowania Zygmunta III.

Wszystkie dzieła Łubieńskiego wyszły razem, po śmierci Autora, w Antwerpii 1643 in folio; niektóre z nich były wpierw w polskim języku wydane; później przełożył je Łubieński na język łaciński. Ł.

Onufry Kopczyński.

Aby się język nie wykrzywiał i nie psuł złem użyciem, jak narzędzie muzyczne fałszywem graniem, uczeni obmyślili ku temu potrzebne środki. Przez zgłębianie ducha i natury mowy ludzkiéj, zasadzonych na niezmiennych prawach rozumu i organizmu człowieka, udało im się utworzyć trudną ale pożyteczną budowę języka, czyli grammatykę, będącą kluczem do wszystkich nauk i umiejętności. A tak, kto tylko pragnie mówić i pisać poprawnie, kto chce myśli swoje tłumaczyć zgodnie z duchem i zwyczajem narodowym, kto chce uniknąć grubych błędów, prostactwa, ciemności i uprzykrzenia słuchaczom, musi zaczynać swe ukształcenie od gramatyki. Dla tego to po szkołach publicznych tyle godzin téj nauce poświęcają, tyle pracy sobie zadają nauczyciele, aby w niéj młodzież wyćwiczyć i ugruntować.

Ta teraz ubita ścieszka, która nas tak pewno i prędko do celu prowadzi, wiele pracy kosztowała uczonych; a przeto tym mężom, co niezmordowaną pracą i szczególniejszą geniuszu bystrością, zdołali wyśledzić językowe prawa, i w pewny ułożyć system, żywa od nas należy się wdzięczność. Do ich liczby należy Onufry Kopczyński.

Wspomnieliśmy już kilka razy, że przed stem lat, a nawet nie tak dawno (czasów tych sięgają jeszcze pamięcią starzy ludzie) nauki były zupełnie podupadły: język polski był zaniedbany i zepsuty: tego tylko miano za uczonego, który po łacinie, choć źle mówić i pisać umiał; a dla popisania się z tą umiejętnością, ustawicznie w ojczystéj mowie, słowa i zdania łacińskie mieszał. Do wykorzenienia tak szkodliwego zwyczaju, po Konarskim, najwięcéj przyłożył się Kopczyński, który to głównym celem powołania swego uczynił, przywrócić ojczystéj mowie szacunek, i uczynić ją najważniejszym przedmiotem naukowym w szkołach publicznych, będąc pewnym, że tym sposobem z czasem utracone odzyska znaczenie. Praca przechodząca siły jednego człowieka: ale czegoż nie dokaże gorliwość, miłość powszechnego dobra, głęboka nauka i stałość charakteru? Kopczyński czuł konieczną potrzebę gramatyki ojczystego języka, przewidywał obfite ztąd owoce dla młodzieży i dla całego kraju; mało więc zważał na trudy, które go w tym zawodzie czekały. Po długiéj i niezmordowanéj pracy, udało mu się zgłębić ducha mowy ludzkiéj, odkryć prawidła językowe i wydać w swoim czasie nader ważne dzieło Gramatykę narodową, zaprowadzoną i długo używaną po wszystkich szkołach polskich. A lubo w naszych czasach dzieło to, równie jak jego Gramatyka pozgonna (roku 1817 wydana) po tylu ważnych nowych odkryciach przez Mrozińskiego, mianowicie w etymologicznéj części, za dokładne uważane być nie mogą; jednakże sława pierwszego prawodawcy języka i czcigodnego mowy ojczystéj rozkrzewiciela, wcale na tem nie ucierpiała. Józef Mroziński *) przewyższył wprawdzie bystrością i głębokością spostrzeżeń swoich autora grammatyki narodowéj; lecz w gorliwości o czystość i poprawność w mowie, o upowszechnienie jéj pomiędzy wszystkiemi stanami narodu, w używaniu do tego najskuteczniejszych środków, któżby się z Kopczyńskim równać poważył?

Onufry Kopczyński urodził się dnia 30. Listopada 1735 roku w Czerniejewie, miasteczku niegdyś w województwie gnieźnieńskiem leżącem. W szkołach warszawskich, pod przewodnictwem nieśmiertelnego Konarskiego, rozwinąwszy zdolności swoje, wstąpił do zakonu Pijarów, poświęcając życie kształceniu młodzieży i rozszerzaniu światła w narodzie. Usposobiony gruntownie do tego trudnego powołania, wcześnie zaczął służyć swym ziomkom pożyteczną pracą. Kopczyński acz młody, był najlepszym nauczycielem: tłumaczył się jasno i żywo, a łagodnością zachwycał i zniewalał sobie umysły uczniów, którzy zwykli byli powtarzać: „Najbardziéj lubimy lekcyą Kopczyńskiego." Wśród ważnych nauczycielskiego powołania zatrudnień, zgłębiając autorów rzymskich, i upatrując pomiędzy temi dwoma językami w duchu i w budowie uderzające podobieństwo, postanowił, częścią dla wyjaśnienia natury obydwóch tych języków, częścią też dla ułatwienia młodzieży początków Łaciny w swéj grammatyce na 3 klassy podzielonéj z Przypisami, ważniej-

*) Jeden z najgłębszych pisarzy i najgruntowniejszych grammatyków w Europie, pracuje teraz nad Grammatyką powszechną wszystkich języków. Z upragnieniem oczekuje publiczność tak ważnego dzieła.





sze prawidła tych dwóch języków wystawić i z sobą porównać: sposób nowy, obudzający w najwyższym stopniu uwagę uczniów, podający nauczycielom tyle okoliczności, do rozlicznych spostrzeżeń i nowych myśli, zdolny do rozwinięcia władz umysłowych młodego wieku, musiał jak najzbawienniejsze wydać owoce. Kopczyński ciągle tym mozolnym i ną pozór suchym pracom oddany, przetrwał w nich aż do zgonu: wiedzą ci, co go znali zbliska, jak wszystkie stoły, ściany nawet napełnione były tablicami i spisami wyrazów, z których wyciągał ważne do swéj grammatyki spostrzeżenia. Sam się do tego przyznał, w mowie na podziękowanie za medal, gdy wyrzekł: „wyślęczałem grammatykę.“ Za tyle trudów i mozołów doczekał czcigodny nauczyciel słodkiéj sercu nagrody: język ojczysty dawniéj mało ceniony i ledwo nie wzgardzony, odzyskał w narodzie swe prawa: młodzież przywyknąwszy do mówienia i pisania nim w szkołach, zaczęła się garnąć do prac literackich, i wskrzeszać długim letargiem przerwane nauki. Kopczyński przeżywszy 65 lat w zakonie, posiadając najwyższe w tem zgromadzeniu stopnie, od wszystkich szanowany i kochany, nie przestał aż do zgonu pracować nad grammatyką i wytykać popełnione przeciwko jéj prawidłom uchybienia. Najpierwsi nawet w kraju uczeni na swych posiedzeniach do Publiczności przemawiający przyjmowali od niego przestrogi, i nie gniewali się, gdy im publicznie grammatyczne omyłki wytykał.

Inny jeszcze czcigodnego prawodawcę języka, wkrótce przed jego śmiercią, spotkał zaszczyt. Właśnie Kopczyński kończył rok 82, gdy na cześć jego kazano wybić medal złoty, który obrazek przedstawia, z popiersiem jego i stósownym napisem, i uroczyście mu go ofiarowano, dnia 30 Listopada 1816. W kilka miesięcy po téj uroczystości, tak miłéj zapewne czułemu sercu Kopczyńskiego, w Lutym roku 1817 głos jego słodki i wymowny umilkł na zawsze. *)

Był to mąż ze wszech miar szanowny, dla niepospolitych przymiotów, niezgiętego charakteru, otwartości i prostoty obyczajów. Szlachetny sposób myślenia, nieskażona cnota i wylanie się dla dobra drugich, poświęcenie zupełne dla młodzieży szkolnéj, oto są przymioty, jednające mu nie tylko powszechny szacunek, ale i uwielbienie. Z tą wielkością duszy łączył Kopczyński głęboką naukę, a zwłaszcza gruntowną znajomość pięknéj Rzymian mowy. Nie przestał on na grammatycznéj umiejętności łaciny; mówił i pisał pięknie tym językiem, z taką pewnością i z taką wprawą, jak w swym ojczystym. Prawidła grammatyczne i stylowe, aż do najdrobniejszych szczegółów nie były mu obce; reguły iloczasowe znał na palcach, i czystego w tym względzie wymawiania starannie pomiędzy uczniami, a co więcéj, nawet pomiędzy nauczycielami przestrzegał. **) Styl jego łaciński przez czytanie poetów (Wirgiliusza 80 razy przeczytał) miał farbę poetycką; wszędzie jednak czysty i klassyczny, czego dał dowody w swych wierszach łacińskich. Styl zaś polski jest poprawny, jędrny, treściwy, a zwłaszcza w przypisach do Grammatyki logiczny i mocny; wszędzie widać myślącego człowieka, który nie przestając na cudzych zdaniach, sam rzeczy zgłębia, i własną wynajduje drogę.

---

*) Dowiadujemy się, że Hrabia Skórzewski, dziedzic Czerniejewa, zamierza uczcić pamiątkę Kopczyńskiego, przez wzniesienie pomnika w rodzinnem jego mieście: skoro to nastąpi, miło nam będzie udzielić w swoim czasie bliższéj w tym względzie wiadomości.

*) Pewnego razu na publicznym popisie przerwał jednemu z Nauczycielów, uczonemu St. examen odzywając się, w przytomności licznéj i świetnéj publiczności po łacinie; perperam dixit, erravit discipulus: haec syllaba corripienda est. Uczony St. odzywa się po łacinie, że owszem dobrze wymówiono, że mu wskaże miejsca dowodzące téj prawdy. Czekam tych miejsc, rzekł Kopczyński. St. posełał mu żądane miejsca z różnych autorów, a Kopczyński przekonawszy się, iż się pomylił, publicznie to nazajutrz odwołał. Okoliczność ta dowodzi otwartości charakteru tego niepospolitego męża.

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)